

Władysław Stefanoff

Fragment pamiętnika
(lata 1946-1947)

Siedlce 2003 r

Do Wrocławia zaprosił mnie mój przyjaciel Stanisław Zdanowski, były burmistrz Siedlec. Był rok 1946. Kilka miesięcy wcześniej otrzymałem dyplom lekarski na Uniwersytecie Poznańskim. W tym samym czasie mec. Piesiewicz, także siedlczanin, został mianowany prezesem Czerwonego Krzyża na kraj. W owym czasie była to instytucja o wielkim prestiżu, choćby dlatego, że była dysponentem darów UNRRA dla zniszczonej wojną Polski. United Nations Relief and Rehabilitation Administration została utworzona przez USA, Wielką Brytanię i czterdzieści dwa inne państwa dla przyścia z pomocą po zakończeniu wojny krajom alianckim najbardziej dotkniętych wojną. Olbrzymie transporty żywności, lekarstw i odzieży trafiały do PCK, który dokonywał dystrybucji wśród ludności. W centrali PCK w Warszawie państwa UNRRA miały swoje przedstawicielstwa sprawujące nadzór nad prawidłowym rozdawnictwem darów.

Mec. Piesiewicz mianował Zdanowskiego przedstawicielem PCK na Dolny Śląsk. We Wrocławiu panował chaos. Transporty kolejowe wywoziły Niemców do ich ojczyzny, powstałą pustkę trzeba było zapełnić Polakami. Między innymi brakowało lekarzy do obsadzenia różnych stanowisk. Zdanowski zakwaterował mnie w Sanatorium Rycerzy Maltańskich, prosząc jednocześnie o sprawowanie tam nadzoru w charakterze p.o.dyrektora. W tym luksusowym sanatorium leczyli się dawniej różni hitlerowscy prominenci i zaprzyjaźnieni z nimi goście zagraniczni. Teraz nikt się tutaj nie leczył, a tylko kilkanaście niemieckich siostr zakonnych czekało na rozkaz wyjazdu. W mieście panował głód, zapasy siostr były nader skromne. Nie mogłem jednak uskarżać się na wyżywienie, ponieważ potrawy były smaczne i ładnie podane. Była wiosna, w ogrodzie kwitły magnolie. Można było być zadowolonym z przydziału mieszkania.

Zdanowski skierował mnie do Wrocławskiego Szpitala Zakaźnego, gdzie potrzebny był lekarz na Oddziale Skórno-Wenerycznym. Nie pomogły moje tłumaczenia, że brak mi dostatecznego doświadczenia do sprawowania funkcji

ordynatora. W mieście szalały choroby weneryczne, a ten oddział szpitalny, jako największy we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku, miał je zwalczyć. Większość chorób wenerycznych przywiozły wojska radzieckie. Zarażonymi kobietami były najczęściej zgwałcone Niemki, ale nie tylko.

Dostałem sporo penicylliny, leku wówczas bardzo skutecznego, ponieważ gonokoki i krętki blade nie były jeszcze uodpornione na ten antybiotyk. Zabrałem się ostro do pracy. Oddział miał sto pięć łóżek, a ja do pomocy młodą sekretarkę, kilku pielęgniarzy i milicjanta, który pilnował, ażeby chorzy nie wymykali się na miasto przed ukończeniem kuracji. Po dwóch miesiącach przydzielono mi także dwóch asystentów z mojego rocznika. Oddział miał sale dwudziestołóżkowe i tylko dwie separatki.

Łazienki oddzielone dla mężczyzn i kobiet.

Zdanowski był doskonałym organizatorem, dzięki takim ludziom jak on we Wrocławiu zaczął panować ład i porządek. Uniwersytetem Wrocławskim zajął się prof. Ludwik Hirschfeld, wybitny uczyony, który między innymi stworzył podstawy nauki o grupach krwi. Reorganizacja uczelni nie była zadaniem łatwym dla nowego rektora. Potrzebni byli przede wszystkim fachowcy. Zgłosiłem się do Hirscheleida, od którego dostałem angaż na starszego asystenta Kliniki Dermatologicznej. Ta klinika była jeszcze w stanie tworzenia się. Pierwszym moim zadaniem było dokonanie remanentu największego na świecie zbioru mularzy. Były to odlewy woskowe części ciał zaatakowanych przez różne choroby skórne. Coś w rodzaju gabinetu figur woskowych. Mularze były bardzo przydatne na wykładach dermatologii. Uporządkowanie tego zbioru zajęło mi dużo czasu. Otrzymałem duży, wygodny gabinet zajmowany dawniej przez prof. Alberta Neissera, odkrywcę gonokoków, którego wielki olejny portret wisiał na ścianie gabinetu.

Wrocław to piękne miasto, warunki pracy i dochody były bardzo dobre, ale ja czułem się przemęczony. Na początku września wziąłem urlop i pojechałem do Gdyni, do mojego brata ciotecznego - Sławka Zieleniewskiego, trenera

miotaczy kadry olimpijskiej, wykładowcy na uczelni WF w Oliwie i mistrza Polski w rzucie młotem. Był między innymi trenerem niesforne go Władysława Komara, mistrza świata w pchnięciu kulą, który z trudem poddawał się rygorom szkoleniowym w Cetniewie. Wymykał się często z obozu szkoleniowego na różne hulanki i swawole, za co był surowo karany przez Sławka.

W owym czasie do Gdyni przybyło trochę ludzi, ażeby nawiązać kontakt z kapitanami statków szwedzkich zajmujących się przemytem. Przemycali głównie ludzi i dzieła sztuki. Jeden z tych statków nazywał się Iwan. W rok później został zatopiony przez radziecką łódź podwodną. W niewyjaśnionych okolicznościach zginęli wszyscy marynarze szwedzcy i pasażerowie. W niewyjaśnionych, ponieważ Iwan został zatopiony bez ludzi, których zabrano na pokład i wywieziono w nieznanym kierunku.

Sławkom powodziło się dobrze. Mieli sklep z artykułami sportowymi w Gdyni i sklep komisowy w Oliwie. Do komisum przychodzili marynarze z dalekich rejsów, przynosząc do sprzedaży egzotyczne przedmioty, z których najwięcej podobały mi się artystyczne wyroby z hebanu. Do Sławków przychodzili w odwiedziny Dytlowie, dawni sąsiedzi Sławka z okolic Kosowa Lackiego, w czasach kiedy byli właścicielami dużych majątków. Po parcelacji majątków przenieśli się na Wybrzeże. Przychodziła też do Sławka bardzo miła, młoda żona oficera marynarki handlowej - Kalinowskiego, z którą się zaprzyjaźniłem. Na tych spotkaniach dyskutowaliśmy często o tym, czy warto zostać w kraju, czy wyjechać na zachód. Zwolenniczką wyjazdu była żona jednego z Dytłów. Po jakimś czasie popłynęła do Afryki i tam jakoby zrobiła oszałamiającą karierę przez udane małżeństwo. Ani Sławek, ani pozostali przyjaciele nie zdecydowali się na wyjazd.

Ja dostałem zaćmienia umysłu i postanowiłem wyjechać. We Wrocławiu miałem doskonale warunki pracy i dobre zarobki, więc wyjazd na zachód, w dodatku bez pieniędzy, był czystym szaleństwem. Miałem do wyboru dwie możliwości. Nawiązać kontakt z marynarzami szwedzkimi z Iwana,

odwiedzającymi kawiarnię Pluton, lub popłynąć na polskim holowniku o nazwie Rekin. Zdecydowałem się na Rekina, który płynął do Hamburga, ale po drodze zatrzymywał się w Szwecji, w Malmö. Polski marynarz, znajomy Sławka, dostał sto dolarów. W oznaczonym dniu zaprowadził mnie na statek, którego załogę stanowiło czternastu marynarzy. Kabina dwuosobowa miała jedno łóżko wolne. Marynarz przeznaczył mi łóżko na górnym piętrze, narzucając na mnie walizki i toboły. Marynarze żegnali się z rodzinami, moje wejście na holownik pozostało niezauważone. Straż graniczna po pobieżnym przeglądzie kabin pozwoliła na odpłynięcie Rekina.

Po wylądowaniu w Malinö wszyscy marynarze poszli napić się piwa. Statek pozostał bez opieki. Wyszedłem bez przeszkód z kabiny, schodząc po mostku do portu. Na stacji kolejowej poprosiłem o bilet do Sztokholmu płacąc dziesięciodolarówką. Kasjerka bez zdziwienia wydała mi bilet i resztę w koronach.

W Sztokholmie udałem się pod adres podany mi przez moją teściową. Jej koleżanka była żoną byłego konsula szwedzkiego w Polsce. Zostałem przyjęty bardzo gościnnie. Konsul poradził mi, ażebym zgłosił się do miejscowego więzienia, celem dopełnienia formalności wymaganych od osób szukających azylu. Zawiózł mnie osobiście do więzienia, nalegając na szybkie załatwienie sprawy.

Sztokholmskie więzienie wprowadziło mnie w zdumienie. Zapytano mnie, czy wolę separatkę bez zamykanych drzwi na klucz, czy też celę kilkusobową. Wybrałem to drugie. W celi siedziało kilku facetów za drobne przestępstwa i przewinienia: Norweg, który nie przedłużył swojej wizy pobytowej, Estończyk przyплыł na swojej łodzi szukać azylu, jakiś wieśniak włamał się do domku letniskowego itp. Na ścianach różni ludzie informowali o swoim pobycie w tej celi. Mój kolega z SGH, Katelbach, zawiadamiał o swoim zamiarze popłynięcia do Argentyny. Po latach dowiedziałem się, że został doradcą finansowym prezydenta Perona.

W międzyczasie dwie eleganckie kelnerki, ubrane w białe fartuszki, podały nam obiad. Nie spodziewałem się takiego posiłku w więzieniu. Doskonała zupa rakowa, na drugie danie kotlet schabowy z jarzynami, a na deser ciastka i ciemne piwo. Ta Szwecja zaczynała mi się podobać.

Po kilku godzinach poproszono mnie na rozmowę. Polska tłumaczka pytała mnie o powód wyjazdu z Polski, o dane osobowe i cel dalszej podróży. Po tej rozmowie zostałem przewieziony mercedesem do obozu dla uchodźców w pobliżu Sztokholmu.

Obóz położony był na malowniczych wzgórzach porośniętych wrzosami, jałowcami i nielicznymi sosnami. W pobliżu znajdowało się duże jezioro, w którym można było popływać. Organizacja obozu perfekcyjna. W dużym magazynie zaopatrzyłem się w nowy, dobrej jakości garnitur, walizkę, przybory do golenia, piżamę, dwa ręczniki, szczoteczkę i pastę do zębów, bieliznę i skarpetki. Były to dary od króla Szwecji, a nie od rządu. W obozie znajdowało się biuro pośrednictwa pracy, ale praca nie była obowiązkowa. Kto chciał zarobić pieniądze na dalszą podróż, mógł pracować w jakiejś fabryce, a jeżeli nie chciał, to mógł przebywać miesiącami w obozie, czekając na przykład na załatwienie formalności związanych z wyjazdem do innego kraju. Jedyna praca obowiązkowa na miejscu polegała na dyżurach w kuchni i stołówce, na przykład przy obieraniu kartofli, zmywaniu naczyń i robieniu porządków. Chętnie poddawano się tym rygorom, ponieważ bezczynność całkowita była bardziej męcząca. Nowoprzybyli dostawali czyste sienniki, które musieli sami wypchać sianem. Baraki były schludne i wygodne. Można też było uprawiać w obozie różne sporty: grę w siatkówkę, koszykówkę, boks, gimnastykę szwedzką lub chodzić na dalekie spacer.

Zawierano znajomości, najczęściej z rodakami. Poznałem w obozie Janusza Żubra, kapitana Muśnickiego i kilka młodych niewiast czekających na wyjazd do Wielkiej Brytanii dla połączenia się z ojcami lub mężami, wojskowymi biorącymi udział w II wojnie światowej, a nie mających zamiaru powracać do

kraju.

Bezczynność zaczynała być uciążliwa. Któregoś dnia namówiono mnie na walkę bokserską z jakimś Niemcem o mojej wadze, wówczas półciężkiej. Ustawiono ring na wolnym powietrzu. Wszyscy obozowicze zebrali się, ażeby oglądać to widowisko. Walkę wygrałem na punkty, z czego dopingujący mnie rodacy byli bardzo zadowoleni.

Pewna młoda Żydóweczka namówiła nas na podjęcie pracy w fabryce włókienniczej w Uddevalla, mieście położonym na zachodzie kraju w pobliżu Geteborga. Pojechaliliśmy w piątek : Żubr, Muśnicki , ja i dwóch młodych chłopców, których nazwisk nie pamiętam. W fabryce przyjęto nas entuzjastycznie, może dlatego, że amatorów na tę ciężką pracę było niewiele. To było ciężkie przeżycie. Osiem godzin przy maszynie, pracując jako przątek łapiący i łączący zerwane nici, lub dostarczający pudła ze szpulami do maszyny, to wszystko przy temperaturze 40°C. Zalewaliśmy się strumieniami potu. Wytrzymałem w tej pracy tylko dwa tygodnie. W zasadzie nie wolno było porzucać podjętej pracy, ale po wypłacie, bez żadnych skrupułów wyjechałem do Geteborga. W tamtejszym pośredniaku skierowano mnie do pracy w fabryce oleju w Melndal. Praca nie była najgorsza, bo laboratoryjna. Na moim stoisku badałem zawartość azotu w ziarnie przywożonym z Ameryki Południowej. Z ziarna wyłaczano olej, a makuchy sprzedawano rolnikom do wypasania nimi bydła. Moja praca była niezła, mogłem nawet dyskretnie część czasu pracy poświęcić na naukę języka szwedzkiego i hiszpańskiego. Miała tylko jedną wadę. Przy próbie Kieldala dochodziło dość często do nieuniknionych wybuchów. Kabina odgrodzona była od pracownika grubą szybą, ale przy silniejszym wybuchu czasami szyba rozlatywała się w drobne kawałki.

Zgłosił się do mnie Żubr, rzucił pracę w Uddevalla i chciał zatrudnić się w mojej fabryce. Przyjęto go chętnie, ale oczywiście do pracy fizycznej. Początkowo przetaczał beczki z olejem, a potem został piekarzem makuchów, najczęściej sojowych. Praca dość lekka, ale przy otworze gorącego pieca.

Rozebrany do pasa, z piekarską łopata w rękach, ociekający polem wyglądał jak jakaś dusza potępiona skazana na piekielne męki. Janusz jakoś to wszystko wytrzymał i mógł nawet odłożyć trochę pieniędzy. Załatwił przyjazd swojej żony, syna i córki statkiem przemysłowym - Iwanem.

Miałem dość dobre mieszkanie w Melndal, pomyślałem więc o sprowadzeniu mojej żony - Haliny. Rozejrzałem się za lepszą pracą w sąsiedniej fabryce papieru - Papyrusie. Była to jedna z największych fabryk papieru na świecie. Potrzebny był tam laborant do badania próbek papieru robionych z każdego nowego transportu drewna przed dopuszczeniem do masowej produkcji. Praca była niezła, kierownik laboratorium był ze mnie zadowolony. Musiałem nauczyć się robienia obliczeń na skomplikowanej maszynie, ale dałem sobie z tym radę. Kiedy sprowadziłem żonę Iwanem, Żubr, jego żona i Halina zatrudnili się w Papyrusie przy sortowaniu papieru. Teraz już wszyscy zarabiali dosyć pieniędzy, aby można było odłożyć połowę na wyjazd do Ameryki. Niestety, Żubrowie nie umieli oszczędzać, szastali pieniędzmi nie myśląc o przyszłości. Wieczorami zbieraliśmy się u panien Wierzbickich, artystek malarek. Wymienialiśmy poglądy, robiliśmy plany na przyszłość. Byliśmy pełni podziwu dla uczciwości Szwedów. Nowy rower postawiony na ruchliwej ulicy, bez żadnego zabezpieczenia, znajduwany był po kilku miesiącach przez właściciela w tym samym miejscu, nikomu jakoś nie przychodziło do głowy, żeby go ukraść. Ze stacyjek samochodowych nie zawsze wyjmowano kluczyki, a listonosz roznosząc paczki w Melndal, wyrzucał je na odpowiednim przystanku tramwajowym na chodnik, a ludzie z przystanku sami oddawali je adresatom.

Wolny czas poświęciłem na odwiedzanie konsulatów. Mieliśmy już czerwone międzynarodowe paszporty honorowane przez placówki dyplomatyczne. Teraz najważniejsze było otrzymanie wiz imigracyjnych. A nie było to takie łatwe. Brazylia wymagała posiadania pewnej ilości pieniędzy, których nie mieliśmy. Wystarczało mi jedynie pieniądze na przejazd statkiem. W konsulacie peruwiańskim dawano wizy tylko ludziom niektórych zawodów.

Wszędzie były jakieś przeszkody. W końcu trafiłem na nowego konsula z Wenezueli, świeżo po przewrocie rewolucyjnym w tym kraju, który akceptował wszystkich i nie wymagał opłat za wizy.

Załatwiłem nawet wizy dla malarek Wierzbickich i Żubrów. W tym czasie zgłosił się do mnie dr Rodziński z żoną. Był poprzednio kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia we Wrocławiu. Dowiedział się o tych naszych wizach, przyjechał z Malinö i poprosił, żeby mu te wizy załatwić. Wyraził nawet chęć pożyczenia mi części pieniędzy na przejazd statkiem. Wizy załatwiłem, ale Rodzińscy nie dotarli do Wenezueli. Zdecydowali się pozostać w Stanach, do których mieli wizę tranzytową. Po kilku latach spotkałem ich w Princeton, w czasie naszego urlopu w USA. Pożyczone pieniądze oddałem. Mogłem także zostać w Stanach, ale nie miałem jakoś na to ochoty. Proponowano mi pracę w moim zawodzie w Los Alamos, w ośrodku badań atomowych. Miałem dosyć wojny w Europie, a taki ośrodek w razie konfliktu wojennego mógł być narażony na bombardowanie. Istniało także ryzyko napromieniowania podczas badań naukowych.

W Szwecji przebywaliśmy przez cały rok. W odpowiedzi na moje pismo, na miesiąc przed wyjazdem, dostałem list z kancelarii królewskiej zezwalający na podjęcie pracy w moim zawodzie w miejscowości Lulea na północy Szwecji. Może praca wśród Lapończyków byłaby interesująca, ale było już za późno na zmianę planów. Nastawiliśmy się na tropiki, a nie na surowy klimat w pobliżu kręgu polarnego.

Wyjechaliśmy razem z Rodzińskimi, pociągiem do Oslo, a potem statkiem pasażerskim Stavanger, drugą klasą do Nowego Jorku. Drugą klasą, bo bilety trzeciej były już wykupione.

Ciekawie potoczyły się losy naszych przyjaciół. Żubrowie dowiedzieli się, że szwedzkie okręty wojenne płyną na manewry na Karaiby. Skontaktowali się z admirałem Websterem i o dziwo, dzięki jego żonie, zostali wzięci na pokład okrętu jako pasażerowie, oczywiście nie płacąc za podróż. Wysadzono ich na

holenderskiej wyspie - Atubie, skąd mieli już bardzo blisko do Wenezueli. Malarki Wierzbickie też tam dotarły. Najmniej szczęścia miał kapitan Muśnicki i dwaj młodzi chłopcy, którzy zdecydowali się na podróż jako ślepi pasażerowie. Przedostali się w porcie geteborskim na statek pasażerski płynący do Brazylii. Ukryci w ładowni na dnie statku czekali na dotarcie do portu Belém u ujścia Amazonki. Niestety, mieli zbyt mało żywności i na krótko przed wylądowaniem wyszli z ukrycia, wywołując sensację wśród pasażerów. Zajęto się nimi troskliwie, ale przy spotkaniu na morzu ze statkiem szwedzkim powracającym z Brazylii do kraju, zostali przesadzeni na ten statek i odstawieni do Uddevalla. Kapitan Muśnicki zmajstrował poprzednio dziecko córce swojej gospodyni i według szwedzkiego prawa musiał albo zapłacić z góry alimenty za szesnaście lat, albo pozostać w kraju przez ten okres i stopniowo wypłacać należne pieniądze matce dziecka. Nie wiem, jakie były dalsze jego losy.

Szwecja to piękny, wspaniały, dobrze zagospodarowany kraj, mieszkańcy są uczciwi, gościnni i mili dla cudzoziemców. Wszystkim państwom Europy kraj ten może służyć za wzorzec do naśladowania.